



Fragment z nadchodzącej książki „Safonki, czyli sztuka w pięciu zgonach”

AKT III

EPEJSODION I

Śniłam w Panteonie, budziłam się na Akropolu. Żyłam na Olimpie, mimo że oznaki życia nie płynęły w moim rozmytym ciele. Ostatnia nitka zaczepiona o łąd rozsądku i świadomości otaczającego mnie absurdu zatonała. Utonęła w falach pobłażliwego uczucia, które ciągnęło mnie do Safonki, wepchnęło mnie wprost w ich objęcia. Nie rozumiałam, dlaczego wcześniej tak sprzeciwiłam się uwielbieniu ich. Czemu patrzyłam na nie ze strachem, obrzydzeniem, oburzeniem. Były takie piękne, niczym prawdziwe, olimpijskie nimfy o duszach wyłowionych prosto z Acheronu.

Jako Safonka, całe dni spędzałam w rozpuście. Za pozornego dnia zwiedzałam zakamarki Akropolu, noce mijały mi na rozmowach, chichotach i pieszczotach wśród zewsząd ogarniającego

nas puchu i ciepła. Zapach kobiecych ciał sprawiał, że mimo błędnej senności, która nieustannie mi towarzyszyła, nie mogłam spać. Zupełnie tak, jakby mój spragniony organizm chciał nasycić się barwą ich pięknych, zaróżowionych ciał, mimo snu, który mącił ślady rzeczywistości. Byłam Safonką, kochałam Safonki, byłam kochana przez inne Safonki. Ta matriarchalna myśl wciąż nie docierała do mnie. Miałam ochotę piszczeć i skowyczeć jednocześnie za każdym razem, gdy spijałam sok granatu z warg Hekate, gdy słyszałam przy uchu paranoiczny śmiech Eris, gdy moje plecy drapała Afrodyta oraz gdy włosy pieściła mi Eurydyka.

Moja Eurydyka!

Och, najdroższe nimfy Olimpu, gdybym miała wskazać jedną skazę tego mitycznego raj, wskazałabym właśnie brak wyłączości! Eurydyka nie mogła być tylko moja, a ta myśl sprawiała, że cierpiałam każdej niekończącej się nocy coraz bardziej. Szybko ocierałam

łzy, gdy pieszcząc się z inną Safonką, patrzyła mi prosto w oczy, jakby tęskniła, jakby błagała, jakby cierpiała! Zupełnie tak, jakby chciała mi powiedzieć samym spojrzeniem — pragnę tylko ciebie, ukochana!

Czy to nie był tylko sen? Czy to nie było chore, indywidualne wyobrażenie rzeczywistości? Wszystko było tu absurdałne, a ja w tym absurdzie pływałam, jak w gorzkim oceanie własnych łez.

Gdy nie było pieszczot, w naszej safonńskiej świątyni dochodziło do długich rozmów. Zarówno ze wszystkimi Safonkami, jak i moimi, prywatnymi tylko z Eurydyką. Kroczyłyśmy po olbrzymich, greckich zakamarkach, dziwić się za każdym razem, gdy niektóre ściany naszej świątyni wydawały się nierealnie zrujnowane. Uwielbiałam z nią rozmawiać. Uwielbiałam słuchać jej głosu, tego ciepła, które docierało do mnie, gdy tylko otwierała usta. Kochałam oglądać jej promienny uśmiech, słuchać delikatnego, łaskoczącego w ucho śmiechu i przegadywać długie, archaiczne lata. Kochałam ją, o najdroższy Olimpie, jak ja ją kochałam!

Często zasiadałyśmy na skarpie, tuż pod drzewkiem oliwnym. Delikatny, przyjemny cień padał na nas, topił nas w nikłej kropli mroku, który rozpraszał zawistne, zazdrosne spojrzenia pozostałych Safonek. Siadałyśmy na murku, blisko siebie, a kamyczki obsunięte z konstrukcji spadały spod naszych stóp wprost w przepaść ledwo wyrastających, mitycznych i sennych

Aten. Rozmawiałyśmy i rozmawiałyśmy, aż słońce nie obiegiło kuli ziemskiej trzy razy. Czasami, gdy jedynie cykady towarzyszyły nam swoim śpiewem, całowałyśmy się pod drzewem. Tak ukradkiem, niczym przepędzone z pałacu niewiasty. Jej wargi smakowały wtedy najdorodniejszymi owocami i popiołem Hadesu. Smakowałam tego połączenia niczym najśłodszej przekąski. Delektowałam się każdym dotykiem naszych warg, smakowałam ich tak, jakbym jutro miała obudzić się w końcu z tego pięknego snu, znaleźć ponownie w swoim starym życiu.

Czasami, niczym koszmar, docierały do mnie przebliski. Jakby z poprzedniego wcielenia, najczęściej poprzeplatane uczuciem, kłującego w serce déjà vu. Widziałam deski teatru, zupełnie innego niż te antyczne, majestatyczne. Proskenion wyglądał tak biednie, brudno. Paskudnie! Jak można tak niweczyć sztukę? Denerwowało mnie to. Frustrowało jak nic innego w moim pięknym, greckim świecie. Te myśli były nieodłączne, maniakalne, jakby moja podświadomość próbowała mnie przed czymś ostrzec. Widziałam stary teatr i mężczyzn. Mężczyzn w maskach. Potwornie, arcybrzydkich maskach. Wyglądali jak prawdziwe bestie z najgorszych, dziecięcych koszmarów. Prawie płakałam na samą ich myśl.

Pewnego ciepłego, greckiego lata zdecydowałam się powiedzieć Eurydyce o moich sennych zjawach. Nie zareagowała tak, jakbym na to liczyła.

— Nie myśl o tym. To nieprawda.

Spojrzałam ku niej zdezorientowana. Jej głos był ostry jak włócznia. Ugodziła mnie prosto w serce, sprawiając, że na moment w moich oczach straciła maskę żywej bogini.

— Dlaczego, najdroższa? Te myśli mnie nękają. Nie mogę żyć z nimi na naszym pięknym Akropolu.

Eurydyka nie patrzyła na mnie. Patrzyła na Ateny niczym z lotu ptaka. Obserwowała rozwijające się miasto i małych ludzi kroczących między uliczkami niczym mrówki. Powoli, subtelnie pokręciła głową, a jej długie pasma włosów rozwiały wiatr.

— Ateno, te myśli mają cię sprowadzić do rozsądku. W domu Safony nie jest on potrzebny.

— Dlaczego? Wyłumacz mi.

Eurydyka wzięła nerwowo wdech w płuca. Spojrzała w niebo.

— Dom Safony to Olimp. Tu nie ma zmartwień. Tu nie ma złych myśli. Te wizje cię sprawdzają, upewniają się, czy nie zasługujesz na wydalenie z naszego raj. To prawie jak złorzeczenie — odparła złowrogim tonem, jednak gdy tylko odwróciła się w moją stronę, uśmiechnęła się tak promiennie, że przestałam się zamartwiać.

Przysunęłam się bliżej, a nasze dłonie lekko się zetknęły. Jej skóra była miękka jak jedwab.

— A czy ty miewasz takie myśli? O złym świecie?

Eurydyka pokręciła głową roześmiana.

— Nie, ukochana Ateno. Dla mnie istnieje tylko świat Safony. Myślę tylko o tym, jak być najlepszą Safonką. Nic innego nie zaprzęta moich myśli — odpowiedziała podręcznikowo. Zupełnie tak, jakby oliwki wiszące na drzewie snuły podejrzenia, inwigilowały nas. Śledziły, czy aby na pewno nie postępujemy wbrew Safonie. — Chociaż... — dodała po chwili przyciszonym, bardziej ludzkim głosem.

Podniosłam pytająco brew.

— Chociaż? — Przysunęłam się bliżej, jakbym chciała wyszeptać jej słowa buntu wprost do ucha.

— Czasami me myśli zatracą Atena — mówiąc to, uśmiechnęła się w moją stronę.

A ja przepadłam. Utopiona w jej szepcie, otulona jej uśmiechem. Musnęłam dłonią jej policzek i przyciągnęłam do pocałunku.

Za każdym razem, gdy całowałam się z Eurydyką, świat wokoło jeszcze bardziej topił się we śnie. Czułam się trochę, jakby wraz z powietrzem do moich płuc napływał alkohol, który odbierał mi trzeźwe myślenie. Nie czułam własnych kończyn, umysł miałam pusty, serce, mimo iż nie biło, pęczyło od gorąca, które je zalewało. Czułam tylko własne wargi, które scalały się w pocałunku i topniały we wczesnej miłości.

Wtedy bardzo często świadomość urywała swój trop. Często budziłam się następnego dnia — w tym samym miejscu, z głową na kolanach Eurydyki, a ona witała mnie ciepło, jakbym ucieła sobie

słodką drzemkę na słońcu. Czasami jednak budziłam się na Akropolu, na poduszkach, wśród rozgadanych Safonek, które uśmiechały się do mnie pogodnie, gdy w końcu się budziłam. Czasami przebudzałam się w objęciach jednej z nich, w środku jakiejś ekstazy. Nie dało się jednak nie zauważyć, że pieszczoty doprowadzały mnie do snu, przenosiły w czasie i miejscu, a wszystkie sytuacje po przebudzeniu wydawały się jeszcze bardziej absurdalne niż przed zaśnięciem. W takich momentach nie myślałam o dziwnym *déjà vu*. Odtrącałam je na rzecz ciepła kobiecych ciał, które sprawnie tłumiły moje zmysły.

Po pocałunku z Eurydyką obudziłam się już w świątyni. Leżałam w ciepłym puchu poduszek, a Safonki rozmawiały między sobą kawałek dalej, na płytkach o bajecznych, wytwornych kolorach. Gdy tylko uchyliłam powieki, nie poruszyłam się ani o milimetr. Jakiś spreczny ze mną instynkt podpowiadał mi, aby nie dawać znaku życia. Nie ruszać się. Po prostu słuchać.

Tak też zrobiłam. Leżałam niczym wyżarta z życia padlina w pachnących kadzidłom poduszkach i słuchałam ich rozmów.

— Powodzi się? — pytała Hekate podnieconym tonem.

— Wydaje mi się, że tak... — odpowiadała stłumionym, wyciszonym, lekko przerażonym głosem Eurydyka.

— Odrywa się. Odrywa się doszczętnie. Zauważyliśmy to. Spiłyśmy jej oblęd z ust — odparła Eris dziwnie ożywiona.

Kątem oka zobaczyłam, jak oblizuje lubieżnie swoje wargi, niczym drapieżca wylizujący resztki krwi ofiary.

Hekate kiwnęła głową na znak zrozumienia i zwróciła się w moją stronę. Prędko zamknęłam oczy i wyrównałam pozornie oddech, mimo że sama go nie odczuwałam.

— Myślicie, że ile jeszcze potrzeba?

— Im więcej, tym lepiej. Nie zaszkodzi — odpowiedziała jej spokojna Afrodyta.

Hekate zamilkła na moment w zamyśleniu.

— Co o ty myślisz, Eurydyko? — zapytała po chwili.

— Cóż... zgadzam się z Afrodytą.

Uchyliłam powieki ostrożnie. Sama nie rozumiałam, czemu czają się przed moimi siostrami. Safonki były moimi siostrami, kochankami i boginiami jednocześnie. Przecież im ufałam! A jednak ciało samo nie odpowiadało na pragnienie poderwania się z miejsca. Język w gardle milkł, a palce mrowiły, gdy tylko chciałam mocniej nimi poruszyć. Nie rozumiałam, o co mi chodzi, ale dalej udawałam tę zakłętą padlinę, oczekując ich ruchu, wywołania mnie.

Hekate wstała i podeszła do wiklinowego koszyka na drugim końcu świątyni. Gdy się odwróciła, w ręku miała już owoc granatu oraz nóż. Podeszła z nim do Eurydyki i podała w delikatne dłonie.

— W takim razie zajmij się tym.

Zamknęłam oczy, gdy Eurydyka spojrzała na mnie. Nie otwierałam ich już. Słuchałam. Wpierw towarzyszyła

wszystkiemu cisza, dopiero po tym usłyszałam, jak bose stopy delikatnie dotykają zimnych płyt świątyni. Poczułam obecność. Cień runął na mnie jak ruiny Akropolu, a po chwili z pozornego snu wybudzić mnie miał subtelny dotyk na ramieniu.

— Ateno, najdroższa Ateno — szepotała do mnie Eurydyka, delikatnie potrząsając i gładząc jednocześnie.

Pozwoliłam sobie na leniwe uniesienie powiek dopiero w chwili, gdy musnęła palcami moje włosy i odgarnęła je z twarzy. Powoli usiadła na podłodze obok mnie, a ja zerknęłam na nią sennie.

— Słucham cię, najdroższa Eurydyko — wyszeptałam i przeciągnęłam się niczym zaspane kociątko.

Eurydyka uśmiechnęła się do mnie i podniosła granat.

— Zjesz ze mną?

Od razu poderwałam się z miejsca. Sen momentalnie odpłynął z moich kości.

— Oczywiście, że zjem.

Eurydyka uśmiechnęła się promiennie i poczęła nacinać owoc. Sok już od pierwszych nacięć zaczął wypływać ze środka owocu i brudzić jej palce. Miałam ochotę schylić się i zlizać słodkie krople prosto z jej ramion, jednak bałam się, że zostanie to uznane za zbyt wulgarne w naszym przypadku. Obserwowałam więc, jak nacina owoc nożem, a następnie rozłamuje go palcami doszczętnie na pół. Oblizałam się na sam widok słodkiego, uzależniającego granatu, który przelewał się między naszymi

palcami, gdy podawała mi moją połówkę. Ścisnęłam owoc w palcach, aby kilka pierwszych ziarenek wypadło prosto na mój język, jednak nawet nuta pozornego smaku nie zawitała na moim podniebieniu.

Nagły trzask wytrącił nas z naszego mitycznego, świętego spokoju. Przez chwilę miałam wrażenie, że ściany Akropolu łamią się, rwą niczym kawałki zwykłej, teatralnej instalacji. Zamknęłam oczy przerażona i ujęłam gwałtownie równie zdezorientowaną Eurydykę, jednak, gdy uchyliłyśmy powieki ponownie, nic nie zaważyło nam się na głowy.

Nie było już jednak Akropolu, Aten i drzew oliwnych. Rozejrzałam się wokół zdezorientowana, zamiast bezchmurnego nieba, dostrzegając jedynie wypłowiałe, drewniane zawieszenie pod sufitem starego teatru. Tylko ja zdawałam się zdziwiona. Hekate, Eris i Afrodyta natychmiast podniosły się z miejsca, czujnie rozglądając się na boki.

— Co się stało? — zapytałam Eurydykę, jednak nie odpowiedziała.

Puściła owoc granatu pod stopy i się podniosła. Ja za nią. W oddali usłyszałyśmy męski wrzask. Dotarł do mnie jak zza kurtyny, jakby ktoś powoli pogłębiał mi dźwięk w uszach. Najwidoczniej pozostałe Safonki usłyszały go wcześniej.

Na scenę wpadł przerażony, poturbowany Oleander. Dotarło do mnie, że wróciłyśmy z naszego snu do teatru. Oleander był rozczochrany, miał kilka siniaków i ran ciętych na twarzy. Jego ubrania zostały doszczętnie podarte.

Ledwo trzymały się na chudym, zmasakrowanym ciałku.

Oleander zdyszany i zapłakany pokonał całą długość sceny i padł na kolana już nie przed Hekate, a zwyczajną, ludzką Oriana.

— Błagam, błagam, ukochana! Pomóż mi! Ratuj! — łkał żałośnie biedny Oleander, jednocześnie próbując chwycić wyciągniętą dłoń zdziwionej Oriany.

Ta cofnęła się o krok, obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. Jednak w tej pogardliwości pozostawała nuta nikłej... fascynacji. Swoistego zaciekawienia, za-intrygowania.

— Co się stało, Oleandrze? Cemu wyglądasz tak... — zaczęła mówić Oriana.

— Brutalnie? — dokończył za nią Oleander. — Och, najdroższa! Moja miła! — Udało mu się chwycić jej ręce. Obcałowywał je z chorym obłąkaniem, a Oriana nie próbowała już się cofnąć. — To Valerian! Valerian zrobił mi krzywdę! On... on... oszalał! Zwariował doszczętnie, popadł w obłąd! Wyżywał się na mnie, ja nie mogę już tak żyć. Drogie Safonki, moje serce od samego początku mnie do was prowadziło. Błagam! Pozwólcie mi do was dołączyć! Bez was zginę z jego ręki!

Oriana patrzyła na niego długo w ciszy i pozwalała całować się po rękach. Wszystkie stałyśmy nieruchomo, jednie przypatrując się sobie nawzajem. Żadna z nas nie wiedziała, co w takiej sytuacji powinniśmy zrobić. Czy mężczyzna miał prawo zostać Safonką? Kłóciło się

to z całym założeniem naszego kultu. Jednak Oleandra było nam wszystkim szkoda, natomiast Oriana... coraz bardziej specyficznie zaczynała się uśmiechać.

Pochyliła się nad zapłakany, przerażonym chłopcem i delikatnie pogładziła jego włosy. Wyglądał jak pies u boku swojej pani.

— Och, ty słodki, niewinny Oleandrze. Nie możesz zostać Safonką — odpowiedziała z troską Oriana.

Oleander zapłakał jeszcze żałośniej. Chciał złapać ją mocniej, jednak Oriana się nie dała.

— Błagam!

— Błagasz?

— Tak! Zróbcie ze mną cokolwiek, ale wyciągnijcie mnie z tego pieprzonego stanu! Zabijcie mnie! Zróbcie ze mnie Zeusa! — wył zawzięcie Oleander.

Oriana pokręciła głową niepokieszona i wyciągnęła dłoń z jego objęć. Oleander upadł na podłogę, podpierając się ledwo na łokciach. Safonki rozpoczęły dziwną grę. Nevenka wraz Euphemią otoczyły go i skinieniem głowy zaprosiły mnie oraz Apollonie do zabawy. Dołączyłyśmy do nich.

— Och, słodki Apollo. Nijaki będzie z ciebie Zeus — drwiła Nevenka.

— Myślisz, że taka śmierć zadowoli teatr? Taka żałosna śmierć na życzenie? — zaśmiała się Euphemia.

— Nie powinieneś żądać śmierci, Oleandrze. Śmierć nie przychodzi na zawołanie — odparła Apollonia z dziwną troską w głosie.

Ja zdecydowałam się milczeć.

— Takie jesteście?! — wrzeszczał przerażony chłopiec. Ślina zbierała mu się w ustach i wylewała kącikami warg. — To się powieszę! Powieszę się i dopiero będziecie mieć brudną śmierć!

Euphemia i Nevenka roześmiały się pobłażliwie. Ich rechot uciszyła dopiero stonowana Oriana, która uniosła dłoń w górze.

— Spokojnie, drogie siostry. Spokojnie, Oleandrze. Nie musimy się posuwać do tak drastycznych rozwiązań — cmoknęła chytrze, jednocześnie patrząc głęboko w rozżalone oczy chłopaka. — Mam pewien pomysł na ciebie.

— Uśmiechnęła się złowrogo, jednak Oleander zaślepiony żalem w ogóle tego zauważył.

— Jaki? Jaki pomysł? — zapytał podniecony, a oczy lśniły mu jak gwiazdy.

Oriana kucnęła, zniżając się do jego poziomu. Powoli ujęła w dłoń jego pucołowaty, zaczerwiony policzek i potarła ranę nad okiem zadaną przez Valeriana. Oleander rozplynał się.

— Mam pomysł na to, jak stosownie ci ulżyć — wyszeptała prosto w jego wargi.

Safonki zaczęły się paranoicznie śmiać. A ja wraz z nimi.